

„WŁASNOŚĆ”



Wojownicy prawa autorskiego mają rację twierdząc, że jest ono formą własności. Prawo własności do nich można mieć i można zdobyć, a system prawny chroni przed ich kradzieżą. Właściciel praw autorskich może zazwyczaj wymusić dowolnie wysoką cenę za udzielenie licencji. rynek określa popyt i podaż, co po części wpływa na cenę, której może żądać.

W języku potocznym określenie prawa autorskiego jako prawa „własności” może być nieco mylące. Prawo autorskie jest bowiem dziwną formą własności. Sam pomysł, że dowolna idea, albo jej wyrażenie, mogą być posiadane na własność, jest bardzo dziwny. Wynosząc z twojego ogródka stolik ogrodowy doskonale zdaję sobie sprawę, co zabieram. Wynoszę przedmiot, stolik, na skutek czego ty przestajesz go mieć. Trudniej zrozumieć, co zostaje zabrane, jeśli podchwycę twój dobry pomysł, aby wstawić do ogródka stolik, a potem udam się do sklepu, kupię stolik i postawię go we własnym ogródku. Co zabrałem ci w tym przypadku?

Nie chodzi tutaj o materialny charakter stolików ogrodowych, który odróżnia je od idei, choć jest to istotna różnica. Idzie raczej o to, że zazwyczaj, a w zasadzie niemal w każdym wypadku, raz uwolnione w świat idee stają się dostępne za darmo. Nie zabieram nic, gdy naśladowuję sposób, w jaki się ubierasz, choć byłoby dziwne, gdybym robił to codziennie, szczególnie, jeśli jesteś kobietą. Wręcz przeciwnie, jak zauważył Thomas Jefferson (a co jest zwłaszcza prawdziwe, gdy naśladowuję czyjś styl ubierania się) : „Kto otrzymuje ode mnie ideę, pobiera też naukę, nie pomniejszając mojej wiedzy; podobnie ten, kto odpala świecę od mojej, otrzymuje światło, mojego nie gasząc”.Wyjątkami, jeśli chodzi o ich swobodne wykorzystanie, są idee oraz sposoby ich wyrażania, pozostające pod ochroną prawa patentowego i autorskiego oraz w kilku innych obszarach, które tutaj pominę.

Prawo stwierdza, że nie możesz zapożyczyć mojej idei lub jej ekspresji bez mojej uprzedniej zgody. Prawo przekształca te nieuchwytnie byty we własność.

Jednakże natura, zakres i forma tej przemiany -- innymi słowy szczegóły -- nie pozostają bez znaczenia. Aby zrozumieć, w jaki sposób wyłoniła się praktyka przekształcania czegoś nieuchwytnego we własność, musimy tę „własność” umieścić we właściwym kontekście.

Czyniąc to, przyjmę podobną strategię, co w poprzedniej części książki. Przedstawię więc 4 historie, które pomogą zrozumieć, w jakim kontekście funkcjonuje idea, że „chronione prawem autorskim treści są własnością”. Skąd wziął się taki pomysł? Jakie są granice własności? W jaki sposób to działa w praktyce? Historie te wyjaśnią znaczenie jak najbardziej prawdziwego stwierdzenia, że „treści chronione prawami autorskimi są własnością”. Jednak wnioski z tego płynące okażą się inne od tych, które – zdaniem wojowników prawa autorskiego – powinniśmy wyciągnąć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY: ZAŁOŻYCIELE

Romeo i Julia, jedenasta wielka sztuka Williama Szekspira, została napisana w 1595 roku, a opublikowana po raz pierwszy w 1597 roku. Szekspir tworzył do 1613 roku, a wpływ jego dzieł na kulturę anglo-amerykańską jest do dzisiaj istotny. Twórczość tego XVIwiecznego dramaturga tak głęboko wniknęła w naszą kulturę, że często sobie tego nie uświadamiamy. Pewnego razu podsłuchałem, jak ktoś w następujący sposób skometował filmową adaptację Henryka V w reżyserii Kennetha Branagha: „Podobało mi się, ale pełno u Szekspira komunałów”.

W 1774 roku, niemal 180 lat po powstaniu *Romea i Julii*, wiele osób nadal uważało, że „prawo kopiowania” (ang. *copy-right*) tego utworu ma na wyłączność Jacob Tonson, jeden z londyńskich wydawców. Tonson był najważniejszym członkiem niewielkiej grupy wydawców o nazwie Conger, która w XVIII wieku kontrolowała sprzedaż książek w Anglii. Członkowie tej grupy twierdzili, że mają uzyskane od autorów wieczyste prawo zezwalające na kontrolę nad „kopiowaniem” książek. Oznaczało to, że nikt inny nie mógł wydać książki, której prawa autorskie należały do członków Congera. Dzięki temu ceny klasyki literatury

utrzymywały się na wysokim poziomie, a konkurencja, pozwalająca na tworzenie lepszych lub tańszych wydań, została wyeliminowana.

Każdy, kto cokolwiek wie o prawie autorskim, zdaje sobie sprawę, że 1774 rok był rokiem zagadkowym. Bardziej znany w historii prawa autorskiego jest rok 1710, w którym brytyjski Parlament przyjął pierwszą ustawę o „prawie autorskim”. Ustawa ta, znana jako *Statut królowej Anny*, gwarantowała wszystkim wydanym utworom 40-letni okres ochrony praw autorskich, odnawialny jednokrotnie, o ile autor nadal żył. Utwory opublikowane przed rokiem 1710 były na mocy *Statutu* chronione przez okres następnych 21 lat. Zgodnie z ustawą, sztuka *Romeo i Julia* powinna była zostać uwolniona spod ochrony prawa autorskiego w 1731 roku. Dlaczego więc w 1774 roku nadal istniała kwestia kontroli, jaką nad utworem miał Tonson?

Było tak, ponieważ Anglicy nie uzgodnili do tego czasu, czym jest „prawo kopiowania”. W rzeczy samej nikt tego jeszcze nie uczynił. Uchwalony w Anglii *Statut królowej Anny* był pierwszym aktem prawnym, który regulował kwestie praw autorskich. Wcześniejsza ustawa regulująca działania wydawców, *Licensing Act* z 1662 roku, wygasła w 1695 roku. Było to prawo, dające wydawcom monopol na publikację książek, które jednocześnie ułatwiało Koronie angielskiej kontrolę nad wydawanymi publikacjami. Jednak po wygaśnięciu tej ustawy przestało obowiązywać jakiekolwiek prawo pozytywne, które dawałoby wydawcom, określanym jako „księgarze”, wyłączne prawo druku książek.

Brak prawa pozytywnego nie oznaczał braku jakiejkolwiek regulacji tej kwestii. W anglo-amerykańskiej tradycji prawnej podczas ustalania zasad regulujących ludzkie zachowanie brano pod uwagę zarówno zdanie prawodawców, jak i zdanie sędziów. OPinie prawodawców są określane mianem prawa pozytywnego, a zdanie sędziów kształtuje *common law* będące tłem, na którym odpowiedni organ wprowadza ustawodawstwo. Jedynie uchwalone akty prawne mogą wziąć górę nad zasadami *common law*. Tak więc, po wygaśnięciu dawnych statutów, kluczowe stało się pytanie, czy *common law* chroni prawa autorskie niezależnie od regulacji istniejących na mocy prawa pozytywnego.

Z powodu rosnącej konkurencji ze strony zagranicznych wydawców, kwestia ta miała duże znaczenie dla angielskich wydawców, nazywanych wtedy „księgarzami”. W szczególności Szkoci wydawali coraz więcej książek i eksportowali je do Anglii. Na skutek konkurencji malały zski członków Congera, którzy w odpowiedzi zażądali, aby Parlament przyjął prawo, które zapewni im wyłączną kontrolę nad drukiem książek. Ich żądania doprowadziły ostatecznie do uchwalenia *Statutu królowej Anny*.

Statut ten nadawał autorowi lub „właścicielowi” książki wyłączne prawo jej druku. Ważnym ograniczeniem, które przerażało zresztą wydawców, było nadanie tego prawa sprzedawcy jedynie na ograniczony okres. Po jego zakończeniu prawo autorskie „wygasało” i każdy mógł opublikować wolny już utwór. Tak przynajmniej zdawali się uważać prawodawcy.

Warto się przez chwilę zastanowić nad pewną kwestią. Dlaczego Parlament miałby ograniczyć to wyłączne prawo? Nie idzie tu o konkretne ograniczenia, które zostały wprowadzone, lecz o sam pomysł wprowadzenia ograniczeń czasowych prawa autorskiego.

Księgarze, wraz z autorami których reprezentowali, przedstawili bowiem bardzo mocny argument. Weźmy, dla przykładu, *Romea i Julię*. Sztuka ta została napisana przez Szekspira i ujrzała światło dzienne dzięki jego geniuszowi. Jej powstanie nie wiązało się z zajęciem cudzej własności (pomińmy przy tym fakt, że jest to argument kontrowersyjny), nie utrudniło też innym tworzenia własnych sztuk. Dlaczego więc prawo miałoby pozwolić komukolwiek innemu na wzięcie sztuki Szekspira bez jego zgody lub zgody zarządzających prawami do jego dzieł? Czy istnieje jakiegokolwiek uzasadnienie dla „kradzieży” przez innych dzieł Szekspira?

Odpowiedź składa się z dwóch części. Po pierwsze, musimy zrozumieć, że w czasach, gdy powstał *Statut królowej Anny*, idea „prawa autorskiego” miała specyficzny charakter. Po drugie, musimy wziąć pod uwagę pewien ważny fakt dotyczący „księgarzy”.

Przyjrzyjmy się więc najpierw prawu autorskiemu. W ciągu ostatnich 300 lat pojęcie „prawa autorskiego” znajdowało coraz szersze zastosowanie. Jednak w 1710 roku nie było to pojęcie, lecz wąsko określone prawo, które powstało w formie szeregu konkretnych ograniczeń. Prawo to zabraniało innym dokonywania przedruku książki. W 1710 roku „prawo kopiowania” było prawem używania danej maszyny w celu powielenia danego utworu i nie wykraczało poza to wąskie znaczenie. Nie istniała bardziej ogólna kontrola nad tym, w jaki sposób utwór był wykorzystywany. Dzisiejsze prawo autorskie zawiera pokaźny zbiór ograniczeń cudzej wolności. Autor otrzymuje wyłączne prawo kopiowania, wyłączne prawo rozprowadzania, wyłączne prawo wykonania, i tak dalej.

Tak więc, dla przykładu, nawet jeśli prawa autorskie do utworów Szekspira byłyby wieczyste, w oryginalnym rozumieniu tego pojęcia, oznaczałoby to jedynie, że nikt nie ma prawa przedrukować jego sztuk bez zgody posiadaczy praw do utworów Szekspira. Prawo w żaden sposób nie kontrolowałoby wykonania jego utworów, możliwości tłumaczeń na inne języki lub tworzenia adaptacji filmowej

przez Kennetha Branagha. „Prawo kopiowania” było niczym mniej, ale też niczym więcej, niż wyłącznym prawem do druku.

Brytyjczycy podchodzili sceptycznie nawet do tak ograniczonego prawa. Przez długi czas mieli bowiem niemiłe doświadczenia z „wyłącznymi prawami”, a w szczególności prawami tego rodzaju nadawanymi przez Koronę. Angielska wojna domowa toczyła się po części z powodu królewskiego zwyczaju rozdawania monopolu – w szczególności monopolu na utwory, które już istniały. Król Henryk VIII przyznał Darcy’emu monopol na druk kart do gry. Angielski Parlament zaczął z czasem zwalczać ten rodzaj władzy królewskiej. W 1656 roku Parlament przyjął *Statute of Monopolies*, który ograniczył zakres dopuszczalnych monopolu dotyczących patentów na nowe wynalazki. W 1710 roku Parlament był gotów zająć się rozszerzającym się monopolem drukarskim.

Tak więc „prawo kopiowania”, traktowane jako prawo monopolistyczne, było oczywiście postrzegane jako prawo, które powinno być ograniczone. (Jakkolwiek przekonywająco brzmi stwierdzenie „Oto moja własność, należąca mi na zawsze”, to postaraj się równie przekonywająco stwierdzić, „Oto mój monopol, należny na zawsze”). Państwo było gotowe chronić wyłączne prawa, ale jedynie tak długo, jak długo było to korzystne dla społeczeństwa. Brytyjczycy rozumieli, że faworyzowanie uprzywilejowanych grup może być szkodliwe i przyjęli prawo, które położyło temu kres.

I druga sprawa, spójrzmy na księgarzy. Problem nie tkwił jedynie w tym, że prawo autorskie było monopolem. Wynikał także z tego, że to monopolistyczne prawo znajdowało się w rękach księgarzy. Słowo księgarz brzmi dla nas staroświecko i nieszkodliwie. Księgarze w XVII-wiecznej Anglii nie byli postrzegani w ten sposób. Wraz z upływem czasu w członkach Congera widziano w coraz większym stopniu najgorszy gatunek monopolistów - narzędzia królewskich represji, które sprzedają angielską wolność, aby zapewnić sobie zysk z monopolu. Monopoliści byli często obiektem ostrych ataków. Milton określił ich jako „starych posiadaczy patentów, monopolizujących rynek sprzedaży książek”, a także jako „ludzi, którzy w związku z tym nie wykonują uczciwego zawodu, wymagającego nauki”.

Wiele osób uważało, że księgarze szkodzili rozprzestrzenianiu się wiedzy, mieli to pod kontrolą. Działo się to w czasach Oświecenia, gdy głoszono znaczenie edukacji oraz szerzej pojętego upowszechniania wiedzy. Potężne interesy komercyjne ścierały się z rozpowszechnionym wówczas poglądem, że wiedza powinna być wolna.

Chcąc zrównoważyć ich potęgę, Parlament postanowił zwiększyć konkurencję między księgarzami w najprostszy możliwy sposób, którym było rozpowszechnie-

nie bogactwa, jakimi są wartościowe książki. W tym celu wprowadzono ograniczony okres obowiązywania praw autorskich, gwarantując, że po pewnym czasie wartościowe książki będą swobodnie dostępne do druku dla każdego wydawcy. Tak więc wprowadzenie okresu ograniczonego do 21 lat było kompromisem, którego celem było zwalczenie potęgi księgarzy. Ograniczenie to, nie w bezpośredni sposób, zapewniało konkurencję między wydawcami, a to gwarantowało tworzenie i rozprzestrzenianie się kultury.

Jednak, gdy nastał 11731 rok (1710 + 21), księgarze zaczęli się niepokoić. Widzieli bowiem skutki zwiększonej konkurencji i, jak każdy, nie byli z nich zadowoleni. Początkowo księgarze po prostu zignorowali *Statut królowej Anny*, starając się utrzymać wieczystą kontrolę nad publikacją utworu. Potem, w roku 1735 i 1737, starali się przekonać Parlament, aby wydłużył okres obowiązywania praw autorskich. Tweirdzili, że 21 lat nie jest okresem wystarczającym oraz, że potrzebują więcej czasu.

Prośby te zostały odrzucone. Jak wyraził to jeden z pamflecistów, używając słów, których echo można usłyszeć i dziś:

Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby w chwili obecnej zostać przyznany dłuższy okres, który zresztą nie byłby utrzymany, gdyż przedłużano by go dalej i dalej, tak często jak uprzednie miałyby się ku końcowi. Z tego powodu, jeśli ustawa ta zostanie uchwalona, jej efektem będzie ustanowienie wieczystego monopolu, co w oczach prawa jest rzeczą słusznie wstrętną. Miellbyśmy do czynienia z wielkim ograniczeniem dla handlu, barierą dla nauczania, brakiem korzyści dla autorów przy jednoczesnym opodatkowaniu czytelników, a wszystko to jedynie dla zwiększenia prywatnych zysków sprzedawców książek.

Po porażce w parlamencie księgarze próbowali dopiąć swego przez szereg procesów sądowych. Ich argument był prosty i jasny: *Statut królowej Anny* zapewniał autorom określone środki ochrony na mocy prawa pozytywnego. Z założenia ochrona ta nie miała jednak zastąpić reguł ustanowionych przez *common law*, lecz jedynie je uzupełniać. Zabranie i wykorzystanie bez pozwolenia cudzej „własności” twórczej było na mocy *common law* zakazane. *Statut królowej Anny*, zdaniem księgarzy, niczego w tej kwestii nie zmienił. Tak więc wygaśnięcie osłon prawnych zapewnionych przez *Statut królowej Anny*, nie oznaczało wygaśnięcia zasad obowiązujących na mocy *common law*, zgodnie z którym księgarze mieli prawo zakazać publikacji książki, nawet po wygaśnięciu prawa autorskiego okre-

ślonego przez *Statut królowej Anny*. Księgarze twierdzili, że jedynie w ten sposób jest możliwa ochrona autorów.

Był to sprytny argument, który uzyskał poparcie części czołowych jurystów tamtych czasów. Był to zarazem przejaw niesamowitej pewności siebie. Jak zauważył profesor prawa Raymond Patterson, „Wydawcy (...) troszczyli się o autorów w takim stopniu, w jakim hodowca krów troszczy się o swoje bydło”. Prawa autora w najmniejszym stopniu nie obchodziły księgarza. Troszczył się on jedynie o zysk z monopolu, który zapewniały mu dzieła autorów.

Przyjęcie argumentów księgarzy poprzedziła regularna bitwa prawna. Jej bohaterem był szkocki księgarz Aleksander Donaldson.

Donaldson, który rozpoczął karierę w Edynburgu w 1750 roku, był *outsiderem* wobec londyńskiego Congera. Jego firma specjalizowała się w tanich przedrukach „standardowych utworów, których prawa autorskie wygasły”, przynajmniej zgodnie z zapisami *Statutu królowej Anny*. Wydawnictwo Donaldsona kwitło i z czasem stało się „rodzajem ośrodka skupiającego szkockich literatów”.

„Jednym z nich” – zauważa profesor Mark Rose – był „młody James Boswell, który, razem ze swoim przyjacielem, Andrew Erskinem, opublikował w wydawnictwie Donaldsona antologię współczesnej szkockiej poezji”.

Gdy londyńscy sprzedawcy spróbowali zamknąć drukarnię Donaldsona w Szkocji, ten w odpowiedzi przeniósł swój interes do Londynu, gdzie rozpoczął sprzedaż tanich wydań „najbardziej popularnych angielskich książek, na przekór obowiązującemu w rozumieniu *comon law*, prawu gwarantującemu własność literacką”. Donaldson sprzedawał książki po cenach niższych o 30–50 procent w porównaniu z wydawnictwami Congera. Opierał on swoje prawo do konkurencji na założeniu, że zgodnie ze *Statutem królowej Anny* sprzedawane przez niego utwory nie podlegały już ochronie prawnej.

Londyńscy sprzedawcy szybko wytoczyli proces, który miał położyć kres „piractwu” dokonywanemu przez osoby takie, jak Donaldson. Działania podjęte wobec „piratów” zakończyły się sukcesem. Najważniejszym zwycięstwem na początku okazał się proces Millar przeciwko Taylorowi.

Millar był księgarzem, który w 1729 roku zakupił prawa do poematu Jamesa Thomsona *Pory roku*. Millar spełniał wymagania *Statutu królowej Anny*, tak więc podlegał pełnej ochronie na jego mocy. Po upływie okresu obowiązywania praw autorskich, Robert Taylor rozpoczął druk konkurencyjnych wydań utworu Thomsona. Millar pozwał go do sądu, powołując się na wieczyste prawo wynikające z *common law*, obowiązujące niezależnie od *Statutu królowej Anny*.

Współczesnych prawników zaskakuje fakt, że Lord Mansfield, jeden z największych sędziów w historii Anglii, przyznał rację księgarzom. Jego zdaniem jakakolwiek ochrona, którą księgarzom gwarantował *Statut królowej Anny*, nie pociągała za sobą wygaśnięcia praw wynikających z *common law*. Na pytanie, czy *common law* chroniło autora przed kolejnymi „piratami”, Mansfield odpowiadał - tak. Jego zdaniem *common law* zabrania Taylorowi dokonywania przedruku wiersza Thomsona bez zgody Millara. Tak więc, na mocy *common law* księgarze otrzymywali w gruncie rzeczy wieczyste prawo kontroli druku dowolnej książki, do której prawo zostało im przypisane.

Z punktu widzenia abstrakcyjnego rozumowania prawnego zakładającego, że sprawiedliwość to wyłącznie kwestia logicznej dedukcji opartej na podstawowych założeniach, wniosek wyciągnięty przez Mansfielda ma pewien sens. Pominięta została jednak szersza kwestia, z którą parlament zmierzył się w 1710 roku, mianowicie, w jaki sposób najlepiej ograniczyć władzę monopolu wydawców. Strategia przyjęta przez Parlament opierała się na ustanowieniu, w przypadku utworów już istniejących, okresu obowiązywania prawa autorskiego wystarczająco długiego, aby zapewnić spokój w 1710 roku, jednak na tyle krótkiego, by w rozsądnym czasie umożliwić zaistnienie kultury opartej na zasadach konkurencji. Parlament uznał, że w ciągu 21 lat Brytania dojrzeje, przechodząc od kultury kontrolowanej, tak pożądanej przez Koronę, do wolnej kultury, którą dziedziczymy.

Walka w obronie ograniczeń, które wprowadzał *Statut królowej Any*, nie miała się jednakże ku końcowi i w tym właśnie momencie w sprawę zaangażował się Donaldson.

Millar zmarł wkrótce po odniesionym zwycięstwie, więc jego sprawa sądowa nie została poddana apelacji.; Zarządzający jego prawami sprzedali prawa do wierszy Thomsona syndykatom drukarzy, wśród których znajdował się Thomas Beckett. Wówczas Donaldson wydał nieautoryzowaną edycję utworów Thomsona. Na mocy precedensu, jakim była sprawa Millara, Beckett uzyskał nakaz zaprzestania druku i sprzedaży książki przez Donaldsona. Ten odwołał się od tej decyzji do Izby Lordów, która pełniła wówczas funkcję porównywalną z obecną rolą Sądu Najwyższego w Stanach Zjednoczonych. W lutym 1774 roku Izba miała okazję zinterpretować znaczenie ograniczeń przyjętych przez Parlament 600 lat wcześniej.

Sprawa *Donaldson v. Beckett* przyciągnęła uwagę Brytyjczyków jak rzadko który proces sądowy.. Prawnicy Donaldsona argumentowali, że wszelkie prawa istniejące na mocy *common law* przestały obowiązywać z chwilą przyjęcia *Statutu królowej Anny*. Od tego momentu, jedynie *Statut* zapewniał prawną ochronę

wyłącznych praw kontroli druku. Ich zdaniem, po upływie okresu wyznaczonego w *Statucie królowej Anny*, utwory chronione przez *Statut* nie podlegały już żadnej ochronie.

Izba Lordów była wówczas dziwną instytucją. Przedstawione Izbie zapytania dotyczące kwestii prawnych podlegały najpierw głosowaniu wśród tak zwanych „lordów prawa”, członków Izby wyróżniających się wiedzą i doświadczeniem prawniczym, którzy pełnili funkcję odpowiadającą sędziom w amerykańskim Sądzie Najwyższym. Izba Lordów głosowała nad kwestią dopiero po głosowaniu w ich wąskim gronie.

Doniesienia o głosowaniu wśród „lordów prawa” nie były jednoznaczne. Według niektórych, przeważało wśród nich poparcie dla idei wieczystego prawa autorskiego. Nie ma jednak wątpliwości, jak głosowała cała Izba Lordów. Większością dwóch do jednego (22 do 11), wieczyste prawa autorskie zostały odrzucone. Od tej chwili prawa autorskie do utworu obowiązywały przez określony czas, niezależnie od indywidualnych interpretacji *common law*. Po upływie tego okresu utwór stawał się częścią domeny publicznej.

„Domena publiczna”. Przed procesem *Donaldson v. Beckett* nie było w Anglii jasności co do znaczenia tego terminu. Przed 1774 rokiem przeważał argument, że prawa autorskie oparte na *common law* są wieczyste.

Po 1774 roku narodziła się domena publiczna. Po raz pierwszy w anglo-amerykańskiej historii, kontrola prawa nad twórczością wygasła i największe dzieła w angielskiej historii – wśród nich twórczość Szekspira, Bacona, Milтона, Johnsona i Bunyana – stały się wolne od ograniczeń prawnych.

Trudno nam to sobie wyobrazić, ale decyzja Izby Lordów wywołała niezwykle powszechną, a zarazem polityczną reakcję. W Szkocji, gdzie działała większość „pirackich wydawców”, ludzie świętowali na ulicach. Jak donosił „Edinburgh Advertiser”: „Nigdy wcześniej prywatna sprawa nie przykuwała tak wielkiej uwagi publicznej i nikt też nie sądził się przed obliczem Izby lordów w sprawie, którą zainteresowanych było tak wiele osób. W Edynburgu [trwa] wielkie świętowanie zwycięstwa nad literacką własnością: [palą się] ogniska i fajerwerki”.

W Londynie jednak, przynajmniej wśród wydawców, reakcja była równie silna, z tym, że innego rodzaju. W „Morning Chronicle” można było przeczytać:

Na mocy powyższej decyzji (...) dzieła warte niemal 200 tysięcy funtów, uczciwie zakupione w publicznej sprzedaży i do wczoraj traktowane jako własność, stały się nagle niczym. Księgarze Londynu i Westminsteru, spośród których wielu sprzedało majątki i domy, by zakupić prawo kopio-

wania, są w pewnym sensie zrujnowani. Osoby, które po latach wysiłku sądziły, że osiągnęły zdolność zadbania o własne rodziny, teraz nie mają nawet szylinga, który mogliby zapisać swoim następcom.

Termin „zrujnowani” jest tu wyolbrzymiony. Nie jest natomiast żadną przesadą uznanie, że zmiana była doniosła. Na skutek decyzji Izby Lordów księgarze już dłużej nie mogli kontrolować rozwoju i rozkwitu angielskiej kultury. Od tego czasu kultura w Anglii była wolna. I nie oznaczało to, że prawa autorskie nie będą już respektowane, gdyż w ciągu okerśłonego czasu po pierwszej publikacji utworu, księgarz miał wyłączne prawo kontroli jego druku. Nie oznaczało to także, że książki można było kraść, gdyż nawet po wygaśnięciu prawa autorskiego trzeba było książkę od kogoś kupić. Wolność oznaczała, że kultura i jej rozkwit nie będą więcej kontrolowane przez niewielką grupę wydawców. Tak jak każdy wolny rynek, także wolny rynek wolnej kultury miał zmieniać się w sposób określony wspólnie przez konsumentów i producentów. Angielska kultura miała się rozwijać zgodnie z wyborami dokonywanymi zbiorowo przez angielskich czytelników, a więc przez zakup książek, a zarazem wybór wspieranych i powielanych *memów*. Wybór dokonany w warunkach konkurencji, a nie w sytuacji, gdy decyzje dotyczące dostępnej kultury oraz możliwości dostępu do niej były podejmowane przez niewielu, za to wbrew życzeniom wielu.

Taka przynajmniej zasada obowiązywała w świecie, w którym Parlament działał jako antymonopolista, odporny na protekcyjnistyczne prośby wydawców. W rzeczywistości, w której Parlament ulega naciskom, wolna kultura nie byłaby w równym stopniu chroniona.